

Drugi dzień Bożego Narodzenia, 1944

Śnieg. Śnieg i nic więcej. Żadne uroczyste śnieżynki, wirujące miękko. Żadne wiosenne płatki, opadające ciężko i mokro, topiące się na ciepłych trawnikach. Najgorszy tatrzański śnieg, mikroskopijne kryształki lodu niesione porywistym wiatrem, uderzające zewsząd, wciskające się pod ubranie, siekące każdy nieosłonięty kawałek skóry jak żyłki, wdzierające się w nozdrza i usta, niepozwalające zaczerpnąć oddechu. Ten śnieg nie padał, po prostu był wszędzie, zajmował każdy skrawek przestrzeni, odbierał poczucie rzeczywistości, nie pozwalał rozpoznać kierunków. Zamieniał nocny marsz w nieprzyjemne uczucie tonięcia w lodowatej, obdarzonej świadomością wściekłej materii, która chce za wszelką cenę zamordować intruza dla samej radości zadawania cierpienia.

Uwięzionemu przez zamieć człowiekowi wydawało się, że konsekwentnie wspina się pod górę, że z każdym krokiem jest bliżej grani Tatr Zachodnich. Powtarzał sobie, że pogoda jest jego sprzymierzeńcem, że pozwoli mu niezauważenie ominąć niemieckie patrole i przedostać się na słowacką stronę. Planował zjechać na tyłku do doliny, zostawić za sobą zamieć, schronić się między świerkami i odpocząć chwilę, tak żeby przed świtem dotrzeć do ludzkich siedzib. Liczył na łut szczęścia, że trafi na porządnego słowackiego górala, a nie zdrajcę kolaboranta, o jakich łatwo było po obu stronach Tatr.

Czuł, że słabnie, ale obowiązek pchał go pod górę. Obowiązek, ale też zwierzęcy strach. Najpóźniej o świcie wszyscy dowiedzą się, że jeden chłopak z hotelowej obsługi zniknął, połączą to z nocnymi wydarzeniami i roześlą pogoń na wszystkie strony świata. Przedarcie się na słowacką stronę i zgubienie tropów to jego jedyna szansa, aby ocalić skórę i wypełnić zadanie.

„Jesteś naszą jedyną nadzieją” – usłyszał tuż przed wyruszeniem w drogę. Myślał o tym i zalewała go fala patriotycznego uniesienia tak mocna, że na krótką chwilę wyganiała z kości uczucie przejmującego zimna. Widział te wszystkie obrazy. Churchill oglądający z troską kikut po amputacji odmrożonego palca (na takie poświęcenie był gotowy), pytający drżącym głosem, czy to stało się właśnie wtedy. Generał Komorowski przypinający mu do piersi *Virtuti Militari*, poważny i uroczysty, ale uśmiech błądzi mu pod wąsem, mruga do niego, dając do zrozumienia, że żaden order nie wyrazi tego, co zrobił dla ojczyzny. Jeśli jakikolwiek bóg istnieje, to musi pozwolić mu dostać się do słowackiego lasu. Jest w tej chwili zbyt ważną osobą dla losów świata, aby mu się nie udało.

Wędrowiec, któremu wydawało się, że cały czas się wspina, miał raptem dwadzieścia jeden lat, i tym można by wytłumaczyć patriotyczne uniesienia. Nazywał się Roman Kłosowicz, pochodził z Poznania, a wiadomość o wybuchu wojny dotarła do niego w czasie szkolenia taternickiego na wschodniej ścianie Kościelca, wykrzyczana przez turystów ze szlaku. Powinien był wrócić do Poznania, ale wychowujący go stryjostwo stanowczym telegramem kazali mu zostać, wierząc, że górski kurort będzie bezpieczniejszym miejscem niż Wielkopolska, przez którą musiał przemaszerować każdy jeden zmierzający dalej niemiecki żołnierz.

Trochę stryjostwo mieli racji, a trochę nie mieli. Niemcy błyskawicznie zajęli Zakopane, obsadzili górskie schroniska strażą graniczną, na ścianie Mnicha powiesili swastykę, a ludność trzymali żelazną ręką, żeby nikomu głupie pomysły nie przychodziły do głowy. Niektórym góralom nowa władza podobała się mniej, niektórym bardziej, a sam Roman trochę dorabiał kelnerowaniem, a trochę konspirował, próbując przysłużyć się Polsce.

Polsce, która zgodnie ze swoim zwyczajem przestała istnieć po raz kolejny. Ziemie na zachodzie z rodzinnym Poznaniem Romana włącznie zostały anektowane przez Rzeszę, Kresy zajęli Sowieci, reszta okupowanej Polski z Warszawą i Krakowem została zamieniona w dziwny

twór zwany Generalnym Gubernatorstwem. Gubernatorem został Hans Frank, doktor prawa i pupilek Hitlera, który lubił nazywać się królem Polski i który sprawnie wywiązywał się ze swojej misji rozwiązywania kwestii żydowskiej w sposób ostateczny, a kwestii polskiej w sposób skuteczny, tak żeby z narodu została zbiorowość tępych niewolników.

Frank, jak na króla Polski przystało, na co dzień urzędował na Wawelu, ale gdy tylko odkrył położone u stóp gór Zakopane, przypominające mu jego bawarskie Schliersee, od razu poczuł się tam jak w domu. Szybko kazał przemianować najokazalszy tatrzański hotel na Kąkolewki – wyjątkowy, bo położony na polanie, w sercu gór, z dala od kurortowej cywilizacji – na Berghaus Krakau, obsadził go esesmanami i urządził w nim luksusową rezydencję, w której spędzał prawie każdy weekend. Siedział na tarasie, gapił się na Kasprowy i popijał swoją ulubioną mocną jak szatan herbatę z kroplą mleka, serwowaną mu przez Romana Kłosowicza.

W drugi dzień Bożego Narodzenia 1944 roku Roman do późnej nocy kursował między kuchnią a apartamentem numer siedemnaście na pierwszym piętrze. Nikt się tutaj nie bawił, nikt nie świętował, wyjątkowo nie było nawet żadnych dziwek. Roman widział i słyszał rzeczy, których widzieć i słyszeć nie powinien, ale lokatorzy apartamentu czuli na karku oddech czerwonoarmistów, stacjonujących już nie setki, ale dziesiątki kilometrów od Krakowa i szykujących się do dalszej ofensywy. To oni byli problemem, a nie kelner z długimi uszami.

O drugiej kręcił się nerwowo po swoim pokoiku na poddaszu i nie mógł zdecydować, czy pójść do Anieli, czy może jednak byłby to ruch przedwczesny.

O drugiej piętnaście podjął decyzję. Jest okupacja, nikt nie zna dnia ani godziny, więc jednak pójdzie i tak się właśnie będzie tłumaczył, że jest okupacja i tak dalej. Wtedy drzwi się otworzyły i zobaczył w nich nie Anielę, tylko znanego mu z widzenia przystojnego esesmana, jednego z głównych pretorian Franka.

Pomyślał, że gdyby poszedł do Anieli wcześniej, to pewnie i tak by go znaleźli, ale przynajmniej nie musiałby umierać jako prawiczek.

– Słuchaj uważnie, bo nie będę dwa razy powtarzał – odezwał się esesman płynną polszczyzną, wręczając mu metalowy przedmiot. – Musisz wyjść natychmiast i uciec z tym na Słowację, w Zakopanem zbyt wielu górali działa na dwie strony. Ukryj się, wojna za kilka miesięcy się skończy. Nie mam pojęcia, co się wtedy stanie, ale jak już będzie koniec, musisz to przekazać Karolowi Estreicherowi z rządu w Londynie. Powtórz.

– Karolowi Esterhazemu.

– Estreicherowi. Powtórz.

– Estreicherowi.

– Dobrze. A teraz wynocha. Ubierz się ciepło, pogoda się psuje.

– Ale...

– Wynocha.

Roman oglądał przedmiot, który wyglądał jak zwyczajny metalowy termos, kiedy esesman jeszcze raz wstawił głowę przez drzwi.

– Nie powinienem ci tego mówić, ale masz w ręku największą tajemnicę tej wojny. Więc nie zawieź mnie, chłopcze. Jesteś naszą jedyną nadzieją. A teraz wynocha.

Ubrał się i wyszedł w noc, czując się jak bohater.

O trzeciej nad ranem wiało już potwornie, ale dopiero zaczynało padać, widział nawet przez chwilę światełko pośredniej stacji kolejki linowej na Myślenickich Turniach. Szczyt Kasprowego był już wtedy we władaniu spadającej w doliny z siłą lawiny zamieci.

O czwartej zamieć dotarła w doliny. Pierwsze uderzenie ściany śniegu zważyło go z nóg, od tamtej pory czuł się już bez przerwy jak wrzucony z garścią śniegu i paroma kostkami lodu do miksera kawałek mięsa. Ludzki koktajl lodowy, oczywiście, Mein Herr, już przygotowuję.

O piątej po raz pierwszy pomyślał o śmierci. Nie jak o pewnym końcu, ale jak o okrutnej ironii losu, to by dopiero było śmieszne, gdyby w takiej chwili właśnie jego załatwiła tatrzańska pogoda. Zaczął wyobrażać sobie Anielę, żeby przestać wyobrażać sobie, ile palców będą mu musieli amputować po tej przygodzie. I żał mu się zrobiło, że jest takim cholernym miastowym chłopcem z dobrego domu, który

nie potrafi załatwić z dziewczuchą jak trzeba. Pierwszy lepszy góral by ją dawno wyobracał, a on od roku się przymiłał, rozmawiał, prawił komplementy, po warkoczcu głaskał. I teraz jeszcze się okaże, że umrze jako prawiczek. Doskonale.

O piątej trzydzieści postanowił określić swoje położenie za pomocą prostej matematyki. W lecie przejście z Kalatówek na grań zajmuje jakieś dwie godziny, jak się dobrze idzie. W zimie zależy od śniegu, ale bez fok nawet przy dobrej pogodzie trzeba liczyć trzy, cztery. A on? Nie ma nawet pojęcia, czy idzie w dobrą stronę, tyle tylko, że raczej pod górę. Czyli marsz musi mu zająć sześć godzin, może nawet siedem. Czyli nie jest nawet w połowie drogi. Więc może sobie pozwolić na kilka minut odpoczynku, spróbować trochę zregenerować siły.

Dawno żadna konstatacja nie przyniosła Romanowi takiej ulgi. Zrobił jeszcze trzy ciężkie kroki w sięgającym mu do kolan sypkim śniegu i zatrzymał się, ciężko dysząc. Zgiął się, opierając ręce o kolana, odsunął szalik z twarzy, żeby splunąć i zaczerpnąć trochę powietrza. To był błąd. Zamieć uderzyła go w twarz, wypełniła usta kryształkami lodu, zamiast odetchnąć, zaczął się krztusić jak tonący. Uczucie było tak surrealistyczne, że kiedy minął atak, zaśmiał się histerycznie. Utonąć w śnieżycy, co za bzdura. Zakrył na powrót twarz, spróbował uspokoić oddech i tętno.

I przestraszył się na dobre.

Kiedy szedł, dyszał i męczył się potwornie, trząsał się z zimna i wyczerpania, ale wysiłek rozgrzewał organizm. Kiedy stanął, nie minęła minuta, jak poczuł się nagi. Jeden podmuch wiatru wywiał całe ciepło spod futrzanej kurtki i flanelowej koszuli, drugi zamienił warstwę potu w lodowaty, bolesny kompres. Roman zaczął się trząść jak w ataku epilepsji, trochę z zimna, trochę ze strachu. Nie wiedział, gdzie jest, nie wiedział na dobrą sprawę, dokąd idzie. Wiedział, że nie ma siły, żeby iść, i że postój oznacza pewną śmierć.

Ruszył w dalszą drogę.

O szóstej przestało mu zależeć na tym, czy idzie pod górę. Szedł, żeby nie umrzeć z zimna, reszta go nie obchodziła. Wola przetrwania

przytłumiła inne emocje, przede wszystkim patriotyczne uniesienia. Jak to w ogóle zostało urządzone, myślał. Jakie to ma znaczenie, jakim narodem jesteśmy i jakim językiem mówimy. Albo żyję, tulę żonę, dzieci bujam na huśtawce przywiązanej do drzewa w ogrodzie – albo nie.

Rozpłakał się, bo wtedy stracił nadzieję na żonę, dzieci i huśtawkę w ogrodzie. Pochylny do przodu, przestawiał z trudem nogi, brodząc w śniegu jak łódka w połamanej krze. Cały czas odtwarzał w myślach scenę sprzed dwóch dni, kiedy siedział z Anielą nad ranem w pustej, cichej kawiarni. Przegadali całą noc, nie było już sensu iść spać, za godzinę musieli pojawić się w kuchni, zacząć przygotowania do śniadania. Piękna noc, wcześniej zdmuchnął świeczkę, żeby dobrze widzieli, jak pejzaż wyraźnie dzieli się na gęsto obsypane gwiazdami niebo i czarny zarys gór. W końcu niebo lekko się rozjaśniło, a potem granica między nim a górami stała się cieniutką, świecącą na czerwono kreską. Gdy w milczeniu obserwowali ten spektakl światła, dotknęła jego dłoni, wystarczyło ją złapać, zaprowadzić cicho na górę i kochać się, pozwolić, żeby świt wydobyl ich ciała z mroku. Zamiast tego zabrał rękę, bo wstydził się, że z nerwów ta ręka trzęsie się jak ręka starego alkoholika i że za nic nie może tego opanować. Jego ciało drżało, jakby każdy mięsień chciał wykrzyzczeć, jak bardzo Roman bał się zbliżenia.

I teraz zdechnie w jakiejś zaspie jako prawiczek. Doskonale.

Roman Kłosowicz był przekonany, że błąka się w zamieci gdzieś wysoko w górach, tymczasem w rzeczywistości kręcił się w kółko niedaleko hotelu na Kalatówkach, w prostej linii nie więcej niż kilkaset metrów dzieliło go od miejsca, gdzie stawał przed doktorem Frankiem mocną jak szatan herbatę z odrobiną mleka i gdzie mu powierzono klucz do największej tajemnicy drugiej wojny światowej. Wydawało mu się, że idzie pod górę, ponieważ torowanie sobie drogi w kopnym śniegu podczas zamieci było tak trudne i wyczerpujące jak wspinaczka po pionowej ścianie. Tak naprawdę szedł po płaskim, czasami w dół, i jego osobista tragedia umierającego z wyczerpania bojownika o wolność ojczyzny rozgrywała się na małej przestrzeni kawałka lasu i kawałka

polany między Kalatówkami i Halą Kondratową, w miejscu gdzie latem i zimą bawią się rodziny z małymi dziećmi, nie traktując tego jako wysokogórskich zmagani.

O siódmej gdzieś ponad czarnoszarymi chmurami pełnymi śniegu i lodu zaczynało świtać, choć do wschodu słońca pozostało jeszcze pół godziny. Dwa dni temu o tej porze Romana dzieliło tyleż od miłości, ile teraz dzieliło go od śmierci.

Krzyknął cicho, kiedy przy kolejnym kroku prawa noga przebiła śnieżny nawis, wpadła w pustkę i pociągnęła za sobą całe ciało. Roman przeturlał się po krótkim, stromym zboczu i zatrzymał w zaspie na dole, ciężko dysząc. Upadek, uderzenie strachu i związany z tym zastrzyk adrenaliny sprawiły, że na chwilę opadło zmęczenie i mógł myśleć trzeźwo. Na tyle żeby wiedzieć, że za żadną cenę nie może zostać w zaspie. Wstał, otrzepał się, oparł o drzewo, żeby opanować mdłości, i czekał, aż serce choć trochę się uspokoi i aż przestanie słyszeć szum w uszach. Wiedział, że jeśli straci przytomność, to będzie koniec.

Po chwili serce zeszło niechętnie z poziomu sprintera na poziom maratończyka, ale szum nie ustawał i Roman najpierw poczuł ukłucie paniki, a potem zrozumiał, że szum nie pochodzi z głowy. Pochodził gdzieś z zewnątrz i był na tyle głośny, że przedzierał się przez pulsowanie tętna i wycie wiatru. Ruszył w stronę, z której, jak mu się wydawało, dochodził dźwięk, opierając się o rosnące tu gęsto drzewa, żeby utrzymać równowagę. Po kilku krokach wypadł na niewielką polankę.

Niestety znał to miejsce. To było wywierzysko Bystrej, miejsce, gdzie podziemny potok wyrzuca na powierzchnię tysiące litrów wody, które spływają w dół doliną Bystrej do Kuźnic i dalej do Zakopanego. Latem było tu bajkowo, zawsze chłodno, wilgotno, w powietrzu unosiła się delikatna mgielka, którą przeciskające się między świerkami promienie słońca zamieniały w tęczę. Teraz wywierzysko było czarną dziurą okoloną śniegiem i jęzorami lodu. Ale gdzieś pod lodem i pod kamieniami ciągle szumiała woda.

Roman zrozumiał, że przez cały ten wielogodzinny marsz nie oddalił się od Kalatówek nawet na kilometr. Wszystko na marne.

Nie miał pojęcia, co robić dalej. Powrót do rezydencji Franka oznaczał śmierć. Próba przedarcia się do miasta także. Marsz w góry tym bardziej.

Spojrzał na czarny jak smoła wylot jaskini i pomyślał: czemu nie? Nigdy nie chodził po jaskiniach, ale przypominały mu się strzępy informacji. W zimie bezpieczniej, bo sucho. Korytarze. Komnaty. Zaciski. Syfony. Stała temperatura. Czemu nie?

Na czworakach wszedł do jaskini, ślizgając się po lodowych jęzorkach, wyglądało to jak dobrowolne składanie się w ofierze mitycznemu potworowi. W pewnej chwili odjechała mu ręka i uderzył ustami w lód, poczuł ból kruszącej się jedyńki i metaliczny smak krwi. Splunął i ruszył dalej w kompletną ciemność. Po kilku metrach skończył się lód, skończyło się też komfortowe chodzenie na czworakach, zaczęło czołganie po wapiennych skałach. Cały czas ciężko dyszał, cały czas serce waliło jak szalone i bezustannie trzęsły się z zimna te fragmenty jego ciała, w których jeszcze miał czucie. Na dodatek zyskał towarzysza: czarną, lepką i wstrętną panikę, która w pierwszej chwili pchnęła go do przodu, w poszukiwaniu upragnionej stałej temperatury. Czołgał się szybko, rozrywając rękawiczki i spodnie, raniąc ciało o kamienie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bezsensownie postępuje, brnąc w głąb jaskini, pochlipując i powtarzając głośno: „Nie, proszę, nie”. Próbował sobie przyświecać benzynową zapalniczką, ale lejąca się zewsząd woda sprawiała, że nie potrafił utrzymać płomienia.

Potem panika przekonała go, że żadna stała temperatura nie istnieje i że musi zawrócić. Wykonał kilka gwałtownych, rozpaczliwych ruchów, rozcinając sobie przy tym głowę, wybijając ukruszony ząb i dwa następne. Myślał tylko o tym, że wszystko jest lepsze od tej lodowatej czerni i że musi wrócić na Kalatówki, że przecież dzień pracy się jeszcze nie zaczął, że po prostu pojawi się w kuchni jakby nigdy nic.

Tylko musi ukryć przesyłkę.

Wydobył spod kurtki termos. Nawet nie zajrzał do środka, taki z niego porządny, niezadający zbędnych pytań konspirator. Co tam jest? Dokumenty? Klucze? Zdjęcia?